

Dużą
scenę Teatru Polonia
otwarto z wielkim hukiem. Przy
dźwiękach młotów pneumatycznych. Na
moment przed premierowym przedstawi-
eniem „Trzech sióstr” Antoniego Czechowa mon-
towano krzesła. Teatr Polonia działa w pełnym
wymiarze, już na dwóch scenach. Firmę sygnuje
Krystyna

Janda



SUKCES: Duża scena w Teatrze Polonia już działa. Ulżyło pani?

Krystyna Janda: Ulga wielka. Przede wszystkim dlatego, że mimo ogromnej ilości problemów, które mieliśmy do samego końca, otworzyliśmy ją z zaledwie półtoramiesięcznym opóźnieniem. Mój mąż załamał się na dwa dni przed ostatecznym terminem i pierwszy raz podczas budowy teatru chciał uciekać. Cały czas pracowało przy remoncie wiele ekip. Robotnicy mijali się z aktorami, wszyscy bili się o dostęp do sceny. Jedni i drudzy chcieli pracować. Podziwiałam aktorów, tym bardziej że była wśród nich czwórka debutantów. To dzieci jeszcze, i w zawodzie, i w życiu. Były historie, płacze, załamania. Z powodu wszechobecnego pyłu wszyscy bez przerwy mieli chore gardło. To było wariactwo. Ale ja na szczęście pracuję w zawodzie 30 lat, nie jestem histeryczką i tak łatwo się nie załamuję. Musiałam być bezwzględna i utrzymać reżim prób, bo inaczej nie zdążylibyśmy. A przecież dla nas, dla teatru to sprawa być albo nie, egzystencji lub bankructwa.

Mieliśmy tak wiele podpisanych umów, zobowiązań związanych z tą premierą i całym grudniem.

Udało się. Jestem jednak tak zmęczona, że nie mam siły się cieszyć. W każdym razie duża scena działa i co wieczór jest pełna. Zobowiązania dopełnione.

Wszystko zrobiła pani tak, jak chciała?

Sukcesem jest to, że otworzyliśmy teatr z pogłębioną, dużą sceną. Inaczej wielu sztuk nie dałoby się zagrać. Żeby jednak pogłębić scenę, musiałam

zatrzymać rozpędzony remont, zmienić projekt, dostać nowe pozwolenia na budowę. Wszystkie zezwolenia, ustalenia, wymiary, obliczenia stały się w tym momencie nieważne. To było ryzyko i nowy wysiłek, a z mojej strony decyzja straceńcza. Niemniej musiałam ją podjąć. Przyszli do mnie architekci: pani Krystyno, musimy pani powiedzieć prawdę, żeby ta scena funkcjonowała normalnie, powinna ją pani pogłębić o co najmniej cztery metry. Wkrótce okazało się, że idzie tam główna wiązka kabli Śródmieścia. Wszystkie media. Zaczęła się taka „jazda”...!

Okoliczni mieszkańcy znoszą jeszcze obecność Krystyny Jandy?

Nie byłoby opóźnienia, gdyby nie nękające nas protesty wspólnoty mieszkańców. Walczyliśmy. Przetrawiliśmy. Decyzja władz miasta była dla nas korzystna i mogliśmy kontynuować rozbudowę.

Czy warto było otwierać własny teatr?

Mam odpowiedzieć na to pytanie serio? Bo odwrotu już nie ma. Bywają dni czy chwile, kiedy tego żałuję. No, może w 50 procentach żałuję. Ludzie z zewnątrz nie wyobrażają sobie, jaki to był, jest i będzie wysiłek. Proponowano mi w tym czasie dyrektorowanie teatrem państwowym, którego nie przyjąłam, bo budowałam Teatr Polonia. Teatr państwowy, wysoko dotowany. Poprowadziłabym go ze spokojem, bez wysiłku, bez osobistego ryzyka. Miło, przyjemnie, bez większej odpowiedzialności. Bez takich stresów. I ratując stosunki rodzinne i małżeńskie. Ciekawe, ile razy mój mąż podczas tego remontu i tego szaleństwa chciał mnie rzucić i iść precz. Na szczęście jest tu razem z mną, to on jest szefem remontu i zdaje się, że kocha ten maleńki teatrzyk dziś bardziej niż ja. Ja w nim tylko gram, a on go zbudował. Ale nie chcę nawet myśleć, co by było, gdyby nie włączył się do tego remontu. Nie chcę myśleć, jak wyglądałoby nasze życie rodzinne czy nasz związek.

Dlaczego więc się pani na to zdecydowała?

Bo nie miałam świadomości, w co się pakuję! Jak zwykle byłam entuzjastką i wydawało mi się, że wszystko będzie proste. Niestety, to, co robiliśmy, jest w jakimś sensie pionierskie, nie ma przepisów, które regulują działanie takiego teatru, prowadzonego przez fundację, a nie

spółkę z o.o. Nawet życzliwi nam ludzie, urzędnicy nie wiedzieli, jak można nam pomóc. Co wolno, czego nie. Mam przyjaciół w Paryżu, w Niemczech, w Szwajcarii, prowadzą teatry w piwnicach czy małych salach bez większych problemów, wszystko zależy tam od talentów artystycznych. Nie wiedziałam, że czeka mnie gąszcz rzeczy nie do przebrnięcia, a sprawy artystyczne będą tylko dodatkiem. Gdybym dzisiaj, po dwóch latach, miała powiedzieć, jak wygląda struktura urzędnicza i organizacyjna Warszawy, nie mogłabym tego zrobić. Nadal tego nie rozumiem. Idę i myślę, że tam, gdzie idę, jest już ostatnie ogniwo. Ale potem okazuje się, że za tym ostatnim ogniwoem są jeszcze cztery adresy w Warszawie, 40 urzędników i 70 papierów.

Chciała się pani wycofać?

Wycofać się nie mogłam, bo sprawy zaszły za daleko. Ale dwukrotnie proponowano mi odsprzedanie teatru i muszę przyznać, że przez moment się zaważałam. Życie ma się jedno, mam 54 lata, szczęśliwie pracuję w zawodzie i jak będę chciała, to będę grać.

Ten wysiłek, największy, na jaki się zdecydowałam w życiu, był mi niepotrzebny.

Czy powodem zbudowania swojego teatru był konflikt w Teatrze Powszechnym? Ambicje?

A może taki teatr to pomysł na emeryturę?

Zrobiłam to ze złości. Reżyseruję mniej więcej od 15 lat. I gdziekolwiek przez te lata poszłam z moimi pomysłami, wszyscy mówili najpierw „nie”. Miałam tego do-

syć. Pomyślałam, że albo teraz, albo nigdy. Że mam ochotę spróbować, czy możliwe jest stworzenie miejsca, gdzie zrealizuję własne pomysły, na własne ryzyko. Na szczęście moje pomysły artystyczne to nie są pomysły rewolucyjne. Nigdy specjalnie nie lubiłam awangardy, nie mogłam tego oglądać i tak jest do dziś. Zawsze przyjaźniłam się z publicznością, na moich zasadach, ale jednak, i lubiłam teatr środka, jak to się ładnie nazywa. Lubię w sztuce harmonię, logikę, tradycję, wiedzę. Wiedziałam, że chcę zrobić teatr dla ludzi, aktualny, a nie zadziwiać świat. Wiedziałam też, że w Warszawie będzie to szczególnie trudne. Warszawa lubi nowości, niespodzianki i jest jak wściekły wilk. Lubi obcych w lesie. To znaczy, że liczy się tylko to, co się zrobiło ostatnim razem. To, co było wcześniej, nie ma żadnego znaczenia. W Krakowie, Poznaniu, na Śląsku, jak się raz odniosło sukces, to jest się do końca respektowanym. Warszawa to miasto histeryczne, egzaltowane, zazdrosne, nuworyszowskie, niewdzięczne, prowincjonalne, a jednocześnie z ambicjami światowymi. Nie pięści, i szybko, bezwzględnie zapomina. A z drugiej strony, Warszawa to moje miasto, moje miejsce, mój ring. Ale tu naprawdę nikt nie zna umiaru. Chcą nowości i krwi, w sztuce też. Wiele jeździłam po świecie. Pracowałam w Europie, i w filmie, i teatrze, poznałam wielu reżyserów i aktorów. Wiem, jak to wygląda w krajach, gdzie nie każdy spektakl jest rzucaniem się do gardła, albo publiczności, albo sobie samym. Ja lubię teatr, który jest rozrywką, przyjemnością i naturalną, zwykłą potrzebą, bez egzaltacji i hysterii.

Czy naturę Warszawy odkryła pani dopiero wtedy, kiedy zaczęła pracę nad własnym teatrem?

To są spostrzeżenia sprzed lat. Kiedy sobie przypomnę recenzję mojego pierwszego filmu „Człowiek z marmuru”, to uświadamiam sobie, że większych batów nie dostał nikt, kto startował w tym zawodzie. Nikt nie usłyszał bardziej obraźliwych epitetów i brutalnych sków niż te, które padły pod moim adresem. Miałam 22 lata i to prawdziwy cud, że wytrzymałam to wszystko i się nie załamałam. Jedni mnie uwielbiali, inni chorobliwie nienawidzili, wielu nienawidzi do dzisiaj. Nadal spotykam

Remont teatru kosztował około pięciu milionów złotych. Milion osiemset tysięcy to pomoc państwa dla fundacji, resztę dołożyliśmy my i sponsorzy. Od roku gramy, za dalszy remont zapłaciła więc publiczność. Pierwszy raz w życiu mamy z mężem problemy z pieniędzmi na wyjazd na narty, żeby odpocząć. Ale to minie – mówi Krystyna Janda, która w swoim teatrze jest aktorką, opiekunem artystycznym, zaopatrzeniowcem...

ludzi, którzy nie zauważyli moich 170 ról zagranych później. Kiedy zaczynałam budowanie teatru, miały mną sprzeczne uczucia. Robię teatr nie dla siebie. Nie będę tu sama grać, będą tu także i inni, myślałam, może publiczność pokocha innych, może tu urodzą się prawdziwe gwiazdy. Robię teatr zgodny z moim gustem i na własne ryzyko.

Ryzykując oszczędności życia.

Cały remont kosztował około pięciu milionów. Milion osiemset tysięcy to pomoc państwa dla fundacji, resztę dołożyliśmy my i sponsorzy. I od roku gramy, za część remontu zapłaciła więc już publiczność.

Chodzenie od drzwi do drzwi z prośbą o pieniądze to niełatwa rola, nawet dla aktorki?

Nigdy nie byłam osobą, która specjalnie umiała prosić. Ale myślę, że jeżeli ktoś jest do czegoś tak zapalony, jak ja, i mówi o tym szczerze, to sprawa jest prostsza. Wszyscy ludzie, z którymi się spotykałam, traktowali mnie jak poważnego partnera. Budzę zaufanie. Ludzie wierzą, że zrealizuję to, o czym opowiadam, że odniosę sukces. I że wezmę na siebie odpowiedzialność. Poza tym spotkałam wśród naszych dobroczyńców wielu moich zagorzałych widzów, a to już zupełnie topiło lody. Wśród dyrektorów, szefów przedsiębiorstw, decydentów jest wielu wspaniałych ludzi, prawdziwych mecenasów, koneserów sztuki, świadomych, że tworzenie teatru jest sprawą obowiązku obywatelskiego. Zdarzało się, że sami występowali z propozycją pomocy w tak ważnym społecznym, jak mówili, celu. Tak naprawdę musieliśmy prosić publicznie dopiero przy krzesłach. Żeby zebrać na fotele, musieliśmy się zwrócić o pomoc bezpośrednio do widzów, bezpośrednio do ludzi. I ludzie nam pomogli. Różni ludzie, zdumiewająca jest lista sponsorów foteli. Koledzy ze środowiska – aktorzy, reżyserzy, ale też radia, telewizje, kancelarie adwokackie, zakłady kosmetyczne, przedsiębiorstwa i skromni emeryci. Są wśród nich i pani Kwaśniewska, i Olga Lipińska, i pan Artur Brodowski, burmistrz Śródmieścia, i ksiądz prałat Jankowski. Krzesła ponad podziałami. Jesteśmy bardzo wdzięczni, bez tej pomocy nie moglibyśmy otworzyć sceny.

Nie jest pani kobietą, która siada i płacze, kiedy wszystko się wali. Nie płaczę z byle powodu, jestem na to za duża i za rozsądna. Płaczą ludzie, którzy są zawiedzeni, bo byli zbyt naiwni. Ja w tym sensie nigdy nie byłam naiwna. Mam naiwność potrzebną do uprawiania zawodu, wiarę w człowieka, w sztukę, w dobro i piękno, bo bez tego nie mogłabym nic stworzyć. Ale w życiu jestem racjonalną, pracowitą bestią, która stara się wiedzieć dlaczego, jak, po co. Czy coś ma ręce i nogi, a jak nie ma, to dlaczego. I co zrobić, żeby miało. Płaczą kobiety, które myślały, że świat jest piękny, a ludzie są dobrzy i wszyscy się kochają. Ja nie uważam, że jest piękny, a ludzie dobrzy z filozoficznego punktu widzenia. Tak myślę, tylko kiedy wchodzę w świat sztuki. Inaczej powstają rzeczy, których ludzie nie chcą oglądać.

Dlatego przez te dwa lata, mimo załamań, umiała się pani podnosić?

Udało mi się dlatego, że już po czterech miesiącach zaczęliśmy pierwsze próby, a po roku graliśmy. Inaczej bym nie wytrzymała. Od kiedy zaczęły się pierwsze próby, w wynajętej, nieogrzewanej sali, w budynku przeznaczonym do zburzenia, tu obok, zyskałam równowagę ducha. Gdybym przez cały czas remontu przynajmniej trzech godzin dziennie nie spędzała na próbie, wtedy nie widziałabym w tym wszystkim sensu. Cały czas, od początku, była koło mnie grupa ludzi, którzy mi pomagali i są ze mną do dzisiaj. To było najważniejsze. Prowadzą teatr

i remont od strony administracyjnej, organizują go, rozliczają, obsługują od strony technicznej. W pierwszym roku zagraliśmy 460 spektakli. **Czy nadal pani wierzy, że pani pomysł na teatr jest dobry?**

Postawiłam na kobiety, na tematy kobiece. Zresztą to mnie interesuje, a nie ma wielu reżyserów, którzy się tym zajmują. Gram w teatrze 30 lat i widzę, że do teatru przychodzą głównie kobiety, jeśli mężczyźni są na sali, to przyprawdzani przez kobiety. Grając 18 lat „Shirley Valentine”, „Marię Callas”, „Kobietę zawiedzioną”, zauważyłam, że są kobiety, które potrafią przyjść 50 razy na tę samą sztukę. A to znaczy, że warto robić dla nich teatr. Teatr, który ich nie zawstydzi i nie obrazi, który będą rozumiały. Teatr, który wzruszy, a może coś uświadomi, a po spektaklu nie będą miały poczucia, że wychodzą z niczym.

To było naprawdę saperskie przedsięwzięcie. Gdyby się pani pomyliła, bankructwo czekało tuż za drzwiami.

Wszyscy poszlibyśmy z torbami. W przeciwieństwie do teatru państwowego, który otrzymuje dotacje, my na co dzień utrzymujemy się z kasy. Graliśmy więc dwa razy dziennie. Z ciężarówkami podjeżdżającymi niemal pod scenę, w brudzie, w kurzu. A widzowie nie mieli do nas pretensji. Na początku siedzieli na tak niewygodnych krzesłach, że naprawdę ich podziwiałam. Staraliśmy się, żeby spektakl do przerwy nie trwał dłużej niż godzinę, żeby ich kręgosłupy wytrzymały. Pamiętam pierwsze przedstawienia „Stefci Ćwiek w szponach życia”. Ludzie siedzieli na widowni, a za ścianą był huk, pył, zastygający beton i lodowate zimno. Agnieszka Krukówna, Zosia Merle i inni przebierali się w obecności robotników, bo żadnej garderoby nie było. Spektakle się opóźniały, ludzie siedzieli na widowni, a robotnicy dopiero wyładowywali beton, więc wychodziłam do publiczności i mówiłam: „Bardzo państwa przepraszam, musimy wyładować beton. Bo on zastyga, a wy nie”. To były czasy, kiedy za wszystko płaciłam z własnej torebki. Bo teatr jeszcze nie zarabiał na siebie. Dzisiaj mamy luksusy. Ciepłe garderoby, prysznic, myjkę do włosów dla aktorek.

A ja dzisiaj już nie mam pieniędzy w torebce, bo je wydałam na teatr, w którym nie mam etatu. Nie mam pensji opiekuna artystycznego, szefa literackiego i zaopatrzeniowca, lista moich funkcji jest długa. Zarabiam, gdy gram, i to mniej niż gdzie indziej. Pierwszy raz mamy z mężem problemy z pieniędzmi na wyjazd na narty do Włoch. Ale to minie. **Niezły interes...**

To jest po prostu interes życia. Mój mąż, którzy pracuje tu dwa lata, całe dnie i noce, utopił tu wszystkie oszczędności. Przed otwarciem dużej sceny w ogóle nie wracał do domu i nocował na tej kanapie w teatrze.

Czy ta inwestycja kiedykolwiek się zwróci?

Gdybym tak myślała, to teatr byłby moją spółką z o.o., przedsiębiorstwem obliczonym na zyski, a jest fundacją. A fundacja, jak wiadomo, powinna wyjść na zero. Teatr się utrzyma, to już wiadomo. Ale nie mamy na produkcję. Za każdym razem musimy szukać sponsorów. A czy się zwróci? Myślę, że nasze dzieci w przyszłości, choćby wynajmując ten teatr, będą się mogły z niego utrzymać. I nasza fundacja, gdyby przestała produkować i tylko wynajmowała budynek, już dzisiaj mogłaby zarabiać. Ale my produkujemy, gramy, ryzykujemy, spełniamy marzenia. Wynajmujemy teatr tylko z naszymi spektaklami.

Jeśli nie chodzi o pieniądze, to o co?

Pewnie o jakąś ideę. W kraju, gdzie marność się przelewa ostatnio z głowy do głowy, może chodzi o pogoń za ideałem. ■

